

MAGAZYN OPINII Pismo.

SIERPIEŃ 2019

OPOWIADANIE

Decydujący rzut | 6
DANIEL ODIJA

No to cyk | 94
KATARZYNA WOŹNIAK

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w sierpniu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 96
NATALIA HATAŁSKA

POEZJA

ciało Władimira Iljicza Uljanowa... | 11
ANTONINA M. TOSIEK

zgubiony | 57
WOJCIECH BRZOSKA

Źle zrobiłem | 85
OSKAR BREYMEYER-DARSKI

OBRAZ

CYKL MIGRACJE **Europa** | 4
KAROL GRYGORUK

FOTOREPORTAŻ **Śmiech to zdrowie** | 38
JACEK WASZKIEWICZ

KOMIKS **Powrót do korzonków** | 72
OLGA WRÓBEL

ZARTY RYSUNKOWE **Sztuczne fiołki**

OKŁADKA **Wczasy Apokalipsy**
ARKADIUSZ HAPKA

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Robimy die-in**
MARCIN WICHA

REPORTAŻ

12 | **Sympatyczny początek końca**
FILIP SPRINGER rusza z nowym cyklem Pisma: Podróż do przyszłości

52 | **Byle nie wracać**
ALICJA BORKOWSKA słucha Irańczyków uciekających przed homofobią

PORTRET

44 | **Zuzana Čaputová. Więcej niż Erin Brockovich**
MICHAŁ ZABŁOCKI o najmłodszej prezydentce w historii

ROZMOWA

18 | **Człowiek to gatunek inwazyjny**
KALINA BŁAŻEJOWSKA pyta prof. JANUAREGO WEINERA o niecierpki i osetniki

Z PISMEM U...

58 | **Joyce Hwang**
ADA PETRICZKO sprawdza, jaki kolor ścian lubią pszczoły i którędy przelatują nietoperze

ESEJ

26 | **Czas Apokalipsy**
TOMASZ ULANOWSKI przedstawia katastrofę w liczbach

32 | **Wielkie plany najślabszego ogniwa**
ANNA PIOTROWSKA wylicza, co musimy zrobić, żeby podbić Marsa

66 | **Addio, pomidory**
KATARZYNA BONI o tym, jak sobie radzić ze stresem klimatycznym

86 | **Dlaczego Polak nie umie śmiesznie stać**
BARTOSZ SADULSKI zagląda za kulisy i słucha *stand-uperów*

WOKÓŁ KSIĄŻEK

78 | **Ekologia wykorzenionych**
REMIGIUSZ OKRASKA bada, skąd się wzięła rewolucja antyekologiczna

MAGAZYN OPINII
Pismo.
Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Mecenas:
empik

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Agnieszka Liszka-Dobrowolska, Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorka ds. Cyfrowych: Barbara Sowa, Projekt makiety: Jacek Utko,
Dyrektor Artystyczny: Karol Tyczyński, Redaktorka Działu Idee i Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Redakcja: Marcin Czajkowski, Zofia Sawicka, Mateusz Roesler (wyd. cyfrowe), Felieton: Marcin Wicha,
Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska, Promocja: Ewa Salamon, Komunikacja i PR: Agnieszka Odachowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



MARCIN WICHA
(ur. 1972), grafik,
projektuje okładki,
plakaty, znaki
graficzne. Pisarz.
Nagrodzony
Paszportem
„Polityki” 2017
w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*

Robimy *die-in*

Telewizja transmitowała wykopki lub żniwa. Wydobycie rosło. W skupie butelek występowały trudności. Schwytni spekulanci patrzyli w podłogę, gdy lektor zapowiadał, że nieprędko wrócą do społeczeństwa (w tle piętrzyły się skonfiskowane towary).

Później zrozumiałem, że państwo postępowało z nami jak z nadpobudliwym dzieckiem. Pilnowało, żebyśmy nie wpadli w ekscytację. Ograniczało bodźce. Nie bójcie się – powtarzało – u nas nie ma trzęsień ziemi, huraganów, bezrobocia ani krokodyli.

Czasami po odczytaniu wiadomości spiker składał kartki, podnosił wzrok i swoim specjalnym, nieoficjalnym tonem pytał: „Ciekawe, jak w tym roku z grzybami?”. Po wstępnej wymianie żartów następowała kulminacja nudy: prognoza. Hipnotyzerka monotonnym głosem recytowała wskazania barometru. Opowiadała o wilgotności powietrza. Zapewniała, że poziom wody na Bugu ustabilizował się w środkowej strefie stanów średnich.

Mijał czas. Przegapiłem moment, kiedy nadali wyżom imiona. Jakies dwa lata temu pojawił się Lucyfer: „masa piekielnie gorącego powietrza znad Sahary”. Od tego czasu w prognozach zapanował styl apokaliptyczny.

Jak zapowiadają synoptycy, już we wtorek Belzebub uchylił wrota piekieł. Pozostaną uchylone do końca tygodnia. W śróde runą niebios. Około czwartku spłonie wszelka trawa zielona i trzecia część drzew, a rzeki się zmieniają w pustynię. (Teraz przerwa na reklamę lodów, napojów, środków na komary).

BYŁ UPAŁ. DŁUGI WEEKEND. Rząd storpedował porozumienie klimatyczne. Demonstrację zwołano w ostatniej chwili, więc pod siedzibę premiera przyszło może ze sto osób. Głównie licealiści. Kilkoro rodziców. Budynek stał pusty. Uprzejma policjantka prosiła, żeby zejść ze ścieżki rowerowej.

Przemawiał chłopak z flagą lewicowej partii. Flaga drżała, gdy krzyczał: „Zostało nam trzydzieści lat. Przez pana, panie premierze, nie dożyję pięćdziesiątki”.

– On jest z waszej szkoły? – spytał jakiś ojciec w tłumie.

– Z humana – wyjaśniło dziecko.

Było jeszcze kilka przemówień.

– Rząd na bruk! Bruk na rząd! – skandowała dziewczyna w ciemnej sukience. – Wiemy, kto na tym zarabia. Wiemy, kto za tym stoi. Wiemy, czyje ręce, wiemy, jakie koła.

– Ją też znasz? – wypytywał facet.

– Nie przeszkadzaj – odparło dziecko. – Tylko z widzenia.

– Dość wycisku ziemi! Dość ucisku planety!

– Zbyt przemocowe hasła – zauważył ktoś starszy.

– Zbliżamy się do końca – ogłosił organizator. – Zanim rozwiążemy zgromadzenie, został ostatni punkt programu. Wszyscy dwa kroki do tyłu, robimy *die-in*.

Spojrzałem pod nogi z nadzieją, że nikt tutaj nie wyprowadza psów.

– Jest jeszcze miejsce na chodniku. Uwaga, apel do wszystkich. Nie śmiejemy się i nie robimy min, żeby na zdjęciach nie wyszło jak poprzednio.

Położyliśmy się. Niektórzy mieli karimaty. Ktoś się nakrył transparentem. Klekotały migawki.

Biedna Ziemia. Wyklęta, wybebeszona przez koncerty górnicze, uduszona plastikiem, przysypana śmieciami. Jeszcze tu była. Gdzieś pod płytami chodnikowymi, asfaltem, granitem. Nasza ofiara ukryta na miejscu przestępstwa. Gdyby naprawdę zerwać bruk, moglibyśmy ją zobaczyć.

Mimo wszystko leżało się nieźle. Nad nami kwitła lipa. Niedobitki pszczoł z przyzwyczajenia wykonywały swoją robotę.

Może jednak nie wymrzemy – pocieszałem się. W końcu nie jesteśmy rafą koralową, lasem pierwotnym ani nosorożcem. Potem pomyślałem o premierze. Takie szczyty muszą być męczące. Pewnie już wrócił do domu, teraz się relaksuje. Ma jeszcze tyle roboty. Przed nim kampania na Śląsku.

Najgorsze, że nawet premier nie załatwi powrotu tamtej nudy. Przyjdą upały i huragany. Będą przerwy w dostawach energii elektrycznej, kolejki do beczkowsowu, kryzys śmieciowy. Nastąpią rzeczy, które miały się nie zdarzać. Może komuś, ale nie nam. Może gdzieś, ale nie tutaj. Może kiedyś, ale jeszcze nie teraz. Ciekawe, jak w tym roku z grzybami?

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
POLECA W SIERPNIU:

Miedzianka Fest

Tegoroczne hasło przewodnie festiwalu reportaży brzmi „BYŁO-NIE-BYŁO”. Przez trzy dni autorzy i autorki oraz zaproszeni goście będą dyskutować i szukać punktów, w których przecinają się fikcja literacka i literatura faktu. W ramach festiwalu odbędą się również warsztaty, prelekcje, spektakle, koncerty i spacer. Do Miedzianki przyjadą między innymi: Dorota Brauntsch, Magdalena Grzebałkowska, Małgorzata Rejmer, Agata Romaniuk, Olga Wiechnik, Kamil Bałuk, Przemysław Czapliński, Jarosław Mikołajewski, Andrzej Muszyński, Piotr Rypson, Filip Springer i Mariusz Szczygieł.

WIĘCEJ: miedziankafest.pl



Sierpień 2019

5

9

15

23



Bauhaus we Wrocławiu

W tym roku obchodzimy stulecie powstania słynnej niemieckiej szkoły projektowania. Z tej okazji „Label Magazine” zaprosił najlepszych polskich ilustratorów do stworzenia plakatów inspirowanych stylem Bauhausu i jego ideami. Inicjatywie towarzyszy cykl wystaw w PURO Hotels, w ramach którego można oglądać prace między innymi Michała Batorego, Joanny Gniady, Patryka Hardzieja, Pawła Jończy czy Andrzeja Pągowskiego. Najbliższa wystawa we Wrocławiu potrwa od 5 do 19 sierpnia, kolejne odbędą się jesienią, w Poznaniu i Krakowie.

WIĘCEJ: label-magazine.com

Czytaj w Zakopanem

Tegoroczna, czwarta edycja Zakopiańskiego Festiwalu Literackiego odbywa się pod hasłem „Zaczytane Zakopane”. Organizatorzy chcą przywrócić pamięć o bogatym życiu kulturalnym miasta, w którym w dwudziestolecie międzywojennym działali tacy twórcy jak Witkacy, Jan Kasprowicz czy Zofia Stryjeńska. W ramach festiwalu przewidziano spotkania autorskie (między innymi z Markiem Bieńczykiem, Sylwią Chutnik i Tomaszem Jastrunem), dyskusje językoznawcze, pokazy filmów, wernisaże wystaw malarstwa i fotografii oraz koncerty. Wydarzeniem towarzyszącym są targi „Pod Tatry tylko z książką”.

WIĘCEJ: literackifestiwal.zakopane.eu



Literacki Sopot – edycja brytyjska

Motywy przewodnim tegorocznej edycji jest kultura Wielkiej Brytanii. Organizatorzy przygotowali bogaty program, w tym debaty, spotkania z autorami i autorkami (między innymi Reni Eddo-Lodge czy Ntalan Lollocki), targi książki, pokazy filmowe, spektakle, warsztaty kreatywnego pisania oraz sekcję „Literacki dla dzieci” (w tym grę z misiem Paddingtonem w roli głównej), a także warsztaty kulinarne inspirowane kuchnią Jane Austen. Polecamy zwłaszcza rozmowę naszej redaktorki naczelnej Magdaleny Kicińskiej z Sarah Hall pod tytułem „London calling: sufrażystki, aktywistki, pisarki”. Opowiadanie tej autorki, *Godzina luksusu*, wciąż możecie przeczytać na naszej stronie lub posłuchać wersji audio w wykonaniu Piotra Roguckiego (z szumem morza w tle).

WIĘCEJ: literackisopot.pl

MIGRACJE

Europa

zdjęcie i tekst KAROL GRYGORUK/RATS

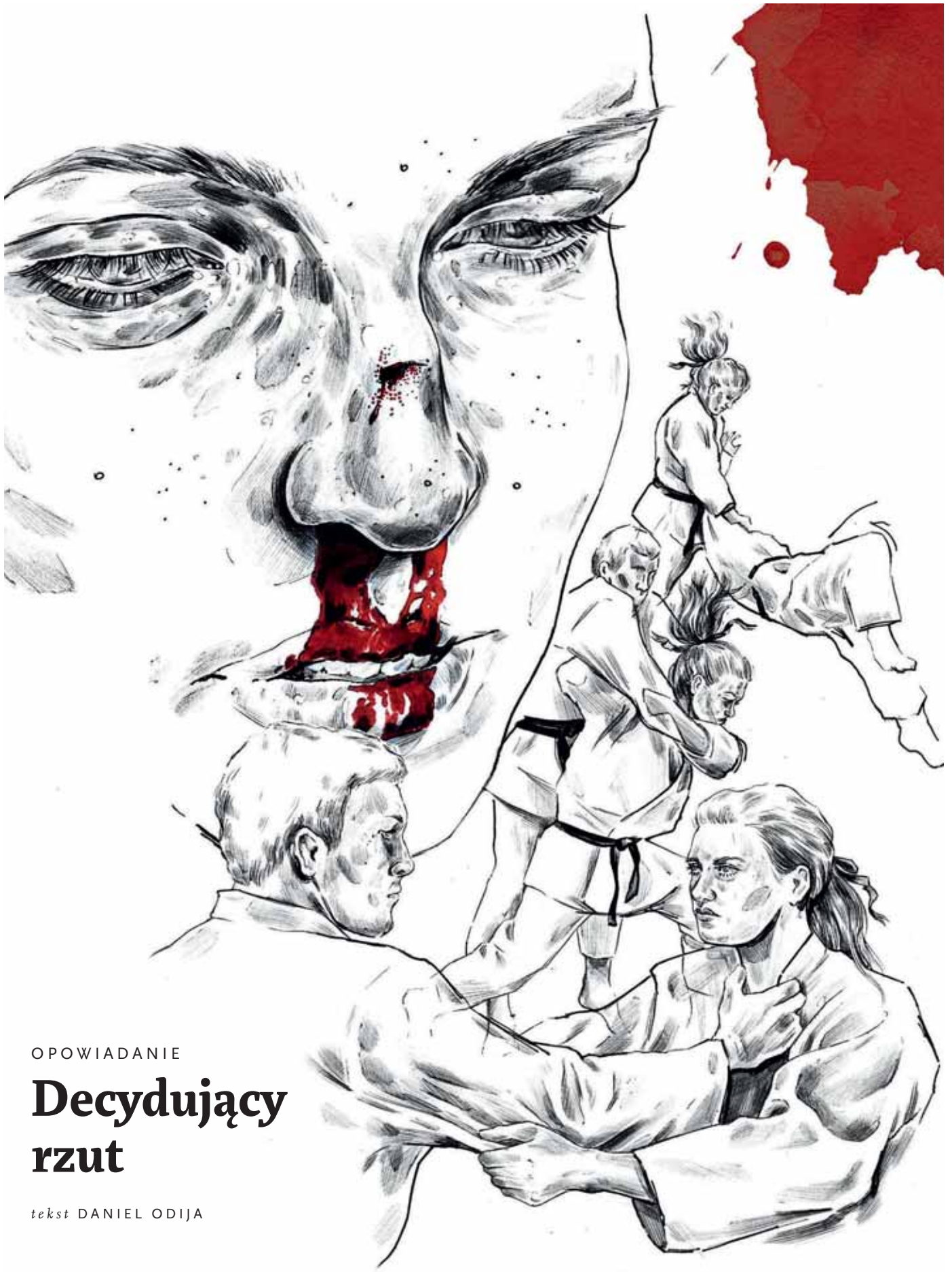


Jalal Molla lat 4, Alaa Jajo lat 6, Mangal Mina lat 5, Malfa Mai lat 3. To zaledwie kilka imion spośród dziesiątek dzieci pochowanych na nielegalnych cmentarzach ukrytych u wybrzeży Europy. Według oficjalnych danych UNHCR jedynie w ubiegłym roku podczas próby przepłynięcia morza życie straciło ponad 2262 migrantów i migrantek.

WSPÓŁPRACA:

minority
rights
group
international





OPOWIADANIE

Decydujący rzut

tekst DANIEL ODIJA

Tata nie był chętny, żebym zapisała się na judo. Gdybym była synem, to byłby chętny, sam przecież trenował judo, ale że byłam córką, a co za tym idzie dziewczyną, a właściwie kobietą, to nie był chętny. Uważał, że o ile chłopakom judo rzeźbiło męską, kształtną sylwetkę, o tyle z dziewczyn robiło umięśnione kwadraty, biodra wypychało do szerokości tyłka, a tyłek przycinało do bioder, w dodatku rosły takiej dziewczynie barki, a piersi się kurczyły, uważał nawet, że dziewczynom trenującym judo dzieje się coś z twarzą, że ta twarz z wysiłku i ciągłych padów, z tego napinania mięśni, gdy uderza się całym ciałem o matę, nabiera kanciastych, ostrych rysów i kształtów, oczywiście, kwadratowych.

Nie wiem, skąd mu się to wzięło, i nawet spytałam go po trzech latach treningów, które miałam sześć razy w tygodniu po dwie godziny, co jakoś nie wpłynęło na moją sylwetkę i twarz, podobnie jak na moją przyjaciółkę, z którą już nie raz całowałyśmy się pod prysznicem, choć może inne koleżanki stały się trochę bardziej przysadziste, czego za bardzo nie byłam pewna, bo podejrzewałam, że na moje postrzeganie ich rzekomych zmian miała wpływ ojcowska teoria, ale moja młodość nie pozwalała na przyznanie racji starszym, a tym bardziej rodzicowi, dlatego któregoś dnia spytałam tatę, skąd wytrasnął tę teorię, że judo zmienia sylwetkę kobiet, gdy nie zmienia.

– Z praktyki popartej obserwacją – odpowiedział bez zmruczenia okiem i kazał mi dokładnie obejrzeć swoje stopy, czy już czegoś nie zauważyłam. Nie zauważyłam. – Każdy judoka prędzej czy później dostaje płaskostopia – powiedział z lekkim uśmiechem i pokazał mi swoje stopy, które były wzorcowym przykładem płafusa.

ŁUP!

Nie wiem, czy był ze mnie dumny, czy mi zazdrościł. Podczas sześciu lat uprawiania judo nie osiągnęłam takich sukcesów, jakie ja osiągnęłam w ciągu moich sześciu. Jako junior zdobyłam tylko mistrzostwo makroregionu w wadze do sześćdziesięciu sześciu kilogramów. W seniorach nie zaistniał, przyplątała mu się kontuzja barku, złamał obojczyk i przerwał treningi – na zawsze. Ja byłam dwukrotną mistrzynią kraju junierek w wadze do sześćdziesięciu trzech kilo. A gdy tylko osiągnęłam pełnoletność,

natychmiast wciągnęli mnie do kadry narodowej senierek, tym bardziej, że mieli ku temu powód, skoro jeszcze jako nastolatka zdobyłam mistrzostwo kraju, a teraz, po dwóch latach w seniorkach, zakwalifikowałam się na mistrzostwa świata.

Do judo byłam zrodzona, jak to mówią. W kadrze senierek potrafiłam wytrzymać podwojoną liczbę treningów, po dwa dniennie. Zresztą nie miałam innego wyjścia. Mistrzostwa się zbliżały.

ŁUP!

Nie każdy lubi zapach maty – gumy zmieszanej z potem. Zaduch sali treningowej. Nie każdy lubi siniaki, otarcia i ból krzyża. Nie trzeba tego lubić, by być mistrzem judo, wystarczy, że nie przeszkadza. Podobnie z wysiłkiem. Nie można się go bać, tego momentu, gdy zamiast śliny czuć krew w ustach, powietrze kroi wewnątrz nosa jak ostre noże, a przed oczami faluje obraz, stąd powiedzenie, że ze zmęczenia zaczyna się pływać. Piłkarze na takie zmęczenie mówią, że oddychasz rękawami.

Nie mogą też przeszkadzać kontuzje. Na kontuzjach daleko nie zajdziesz. Kontuzje to rzut na *ippon* i koniec walki. Mnie szczęśliwie kontuzje omijały, co podobno łączy się z predyspozycjami do danego sportu. Raz tylko na treningu moja ukochana, która jednocześnie była moją sparingpartnerką, złamała mi nos. Przypadkowo. Gdy byliśmy w parterze, próbowała zdusić mnie judogą, ale kołnierz zamiast na szyję naszedł na nos, Wiera szarpnęła, a mi coś chrupnęło w środku. Wcale tak mocno nie bolało, ale nos napuchł, co nieładnie wyglądało, jakbym była jakąś bokserką, i utrudniało oddychanie.

Poszłam do chirurga klubowego, kazał mi usiąść i przez chwilę przyglądał się opuchliznie, badał palcami, aż spytał: – Tu? – delikatnie dotykając małego guzka, który wyskoczył mi z prawej strony nasady nosa, już chciałam odpowiedzieć, że chyba tak, gdy chirurg gwałtownie nacisnął, chrupnęło, poleciały łzy i nagle poczułam, że znowu swobodnie oddycham. Nastawił mi nos, ale za tydzień miałam zawody, złamanie nie zdążyło się zagoić i podczas walki odnowiła mi się kontuzja, ciężkie oddychanie, a właściwie żadne, musiałam oddychać ustami, na szczęście dobrze mi szło, dość szybko kończyłam walki decy-

dującym rzutem, bo byłam po prostu najlepsza.

ŁUP!

Musieli mi ten nos nastawić operacyjnie. Trochę się bałam, bo pierwszy raz miałam być pod narkozą. Gdy już leżałam na stole operacyjnym i miałam wbity igłę w żyłę w ręce, z niepokojem powiedziałam, że nic się nie dzieje, a przecież się spodziewałam, że pewnie powinnam już usnąć, żeby mogli mi ten nos zrobić, wtedy taka miła pielęgniarka nachyliła się nade mną i szepnęła: – Nic się nie martw kochanie, przełknij po prostu ślinę.

Przełknęłam i nawet nie zarejestrowałam zapadnięcia w niebyt, bo natychmiast przebudziłam się z nosem wypchanym bandażami i próbowałam iść o własnych siłach, bo przecież jako judoczka doskonale trzymałam się na nogach, ale nie tym razem, nie tym razem... Teraz nogi miałam miękkie od głupiego jasia, który wciąż krążył w mojej krwi, co bardzo mnie śmieszyło, choć nie czułam radości, lecz zaniepokojenie. Miła pielęgniarka wzięła mnie pod ramię, mówiąc, żebym ostrożnie stawiała nogi, i czułam się, jakbym ponownie uczyła się chodzić.

Na drugi dzień wyciągali mi długie, wąskie bandaże z jednej dziurki od nosa i z drugiej. Skrzepy krwi odrywały się od ścianek nozdrzy, łzy leciały samoistnie, a te bandaże miały po jakieś dwa metry długości! Że też tyle może zmieścić się w jednej dziurce od nosa. Nie było to przyjemne, łaskotanie połączone z bólem, ale to mnie nie przerażało. Jestem raczej odporna na ból fizyczny. Chyba gorzej się czułam, wspominając ten moment, gdy po przełknięciu śliny zniknęłam pod wpływem narkozy. I gdyby mnie nie przebudzili, nawet bym nie wiedziała, że istniałam albo że umarłam. To tak będzie po tej naszej śmierci? Nic? I nawet brak świadomości tego niczego? Całkowite nieczucie? A może właśnie o to chodzi? Może to nasze zbawienie? Wolność od wszelkich zmysłów. Bezzmysłowość?

ŁUP!

Poza tym nie miałam żadnych złamań ani odnawiających się naciągnięć ścięgien, kręgosłup też wszystko wytrzymał. Według trenera po prostu doskonale technicznie wykonywałam rzuty, a to zapobiegało

wszelkim nadwyrężeniom, jakimkolwiek kontuzjom.

ŁUP!

Ustąp, aby zwyciężyć – to podstawowa zasada judo. Wykorzystać siłę przeciwnika. Moim ulubionym rzutem było *morote seoi nage* na prawą stronę. Gdy tylko udało mi się odpowiednim szarpnięciem wytrącić przeciwniczkę z równowagi, natychmiast wskakiwałam pod nią z jednoczesnym obrotem, naciągałam na siebie i przerzucałam przez prawy bark, ściągając pod siebie tak, by upadła na plecy, a ja na nią, co często kończyło walkę przed czasem. Oczywiście nie zawsze się to udawało, rzadziej niż częściej.

Zazwyczaj trzeba było się szarpać całe pięć minut i wygrywać na punkty, męcząca sprawa. Świat wtedy kurczył się do zamkniętej przestrzeni walki, ograniczonej kwadratem osiem metrów na osiem, poza który nie można było dać się wypchnąć, bo traciło się punkty, i nic więcej poza tą przestrzenią się nie liczyło, żaden zewnętrzny świat. Należało przetrwać narastające zmęczenie i uważać, być czujną, skoncentrowaną, by nie przegrać przez decydujący rzut, samej próbując go zastosować.

Rzadko wygrywałam w parterze, jeśli już, to trzymaniem, czasami wychodziło mi duszenie, tylko w juniorkach młodszych udawało mi się załatwić przeciwniczkę dźwignią. Za to w łóżku...

ŁUP!

Moja Wiera smakowała jak ostryga, uwielbiałam ją lizać, cmokać, delikatnie wysysać. Przez dwa lata naszego związku poznałyśmy swój smak, zapach, swoją miękkość, lepkość, gładkość i szorstkość. Ale pewnego dnia Wiera powiedziała, że poznała chłopaka. Chłopaka?! Tak, i będzie chciała mieć z nim dziecko. Dziecko?! – Zresztą przez te twoje treningi nie miałaś już dla mnie czasu – wyrzucała mi, no bo fakt, że treningi zabierały mi coraz więcej czasu, a Wiera ostatecznie zrezygnowała z judo.

Odejście Wiery było decydującym rzutem, po którym padasz na plecy i przegrywasz przez *ippōn*, czymś, czego się nie spodziewałam, a od lat nie przegrałam przed czasem. By zagłuszyć stratę miłości, zasympać tę dziurę, którą we mnie wydarła, jeszcze ciężiej harowałam na treningach, zostawiałam na macie całą moją złość do tego

łysiejącego czterdziestolatka, dwadzieścia lat starszego od Wiery, którego znałam ze zdjęć w sieci, milionera pieprzonego, który zobaczył Wierę na jakichś zawodach i za jego namową rzuciła judo i postanowiła mieć dziecko. Gównu nie dziecko! Wygodne życie chciała mieć! A że ładna była, to się ustawiła...

I może przez ten mój ból, przez to cierpienie, które mnie oślepiało, jakbym patrzyła pod słońce, tak że z wyczerpania po każdym treningu widziałam czarne powidoki nieistniejących planet, które krążyły wokół mnie i we mnie, gdyby nie ta udręka cierpienia, którą próbowałam wybić z siebie katorżniczymi przygotowaniem do mistrzostw świata, być może nie zdarzyłoby się to, co nie powinno się zdarzyć, a jednak się zdarzyło i teraz mam za swoje...

ŁUP!

To było dwa tygodnie przed wyjazdem na mistrzostwa świata. Tego dnia trener był bardzo nerwowy, co zaprzeczało jego spokojnemu charakterowi, flegmatycznej postawie, zółwiej powolności, wyszlifowanej podczas wieloletnich medytacji. Czasami za jego plecami podśmiewaliśmy się, że przed wejściem na matę system nerwowy zostawiał w szatni, taki był wyciszony. Ale tym razem wdarło się za nim na matę coś, co zepsuło jego postawę, z powodu której między innymi tak go szanowaliśmy. To nie znaczy, że tego dnia nagle przestałyśmy go szanować, ale nagle przestał być naszym wsparciem, część jego autorytetu uleciała i jakoś mniej nam się chciało go

słuchać, a co za tym szło, wykonywać ćwiczenia. Miotła nim jakaś niepewność, która sprawiała, że rozgrzewka nie miała rytmu, rwana była, on sam nie potrafił ustać w miejscu, a komendy wykrzykiwał piskliwym zaśpiewem, zamiast – jak to miał w zwyczaju – wypowiadać je stonowanym, ale donośnym głosem. W dotychczas zdyscyplinowany program treningu wdarła się jakaś arytmia. Zaczęłyśmy w napięciu czegoś oczekiwać, choć nie wiedziałyśmy czego i to nas bardziej zajmowało od wykonywania ćwiczeń.

Nie wiadomo skąd i dlaczego w pewnym momencie dziewczyny zaczęły szeptać między sobą, że dziś miał nas odwiedzić jakiś ważny gość, z tych najważniejszych, a może nawet najważniejszy. I stąd ta nerwowość trenera, który nie lubił tego rodzaju niespodzianek, a już szczególnie ze strony tych najważniejszych.

Za bardzo nie uwierzyłyśmy w tę plotkę, no bo jak to tak? On? U nas? Po co? W jakim celu? Bo sam kiedyś był judoką, jak wiedziałyśmy z gazet, telewizji, i tych wszystkich bohaterskich opowieści, które miały uwznioślić Go w naszych oczach, wywyżżyć w naszych myślach i wyobrażeniach o Nim, powiększyć na tle wszystkich Jemu podległych, których jednocześnie to Jego powiększenie pomniejszało?

ŁUP!

A jednak niemożliwe okazało się rzeczywistością.

ŁUP!

Pojawił się w drzwiach hali pod koniec treningu, w judodze. Dwóch małpołudów z obstawy chciało za Nim wejść, ale zatrzymał ich w progu stanowczym gestem, mata rzecz święta, zakazana dla buciorów, ale już dziennikarza w skarpetkach i operatora z kamerą, też w skarpetkach, wpuścił. Sam wszedł na matę, uprzednio czyniąc rytualny ukłon.

Trener, który był od Niego wyższy, teraz nagle stał się niższy, cały krążył wokół Jego postaci w ukłonach, jakbyśmy byli w Japonii. A On szedł w naszą stronę, swobodny, uśmiechnięty, lśniący na twarzy wygładzonej tymi wszystkimi pilingami, które sprawiały, że jego sześćdziesięciokilkuletnia cera zachowywała młodzieńczą świeżość, choć gdy się zbliżył, nie dało się ukryć, że z tą młodzieńczą świeżością trochę prze-



sadziłam, prawdopodobnie dlatego, że bardzo chciałam, by moje wyobrazenie o Nim pokrywało się z rzeczywistością.

– A wiecie, że też tu kiedyś trenowałam? – zagadnął wesoło. Pewnie mało która z dziewczyn to wiedziała, ale ja wiedziałam, bo powiedział mi o tym tata, o tym, że On ćwiczył tu za czasów swojej wczesnej, tajnej kariery, o której lepiej nic nie mówić, a może nawet nie myśleć, żeby tych myśli nikt nie usłyszał, bo jeszcze mogłyby się okazać prawdą... A przecież tak wielu w naszym kraju Go kochało, prawie każda dziewczyna chciała się z Nim przespać, ja nie za bardzo, bo w moim sercu wciąż mieszkała Wiera.

– Podobno jesteście najlepszel! – Wyrażnie chciał nas ośmielić, nasz opiekun, bohater, którego znałyśmy ze zdjęć i telewizji, uśmiechniętego, zamyślonego, zatroskanego, pouczającego innych władców świata, największego z nich, choć z pewnością nie najwyższego, grożącego im, idącego między złotymi ścianami swojego urzędu, jednocześnie będącego najbardziej ludzkim z ludzi, gdy spotykał się ze zwykłymi obywatelami, by cierpliwie wysłuchiwać ich trosk, w tej telewizji.

Ale ja najlepiej zapamiętałam Go ze zdjęcia, gdzie z obnażonym torsem jechał na oklep na brunatnym niedźwiedziu przez rzekę, której wody rozpryskiwały się pod ciężarem Jego i zwierzęcia.

ŁUP!

W tych wszystkich medialnych przekazach zawsze wydawał się spory chłop, a gdy tak stanął przy mnie, byliśmy tego samego wzrostu.

ŁUP!

– No to może mierzę się z którąś z przyszłych mistrzyń? – zagadnął wesoło i spojrział na mnie, bo akurat przy mnie stał i faktycznie byliśmy tego samego wzrostu i podobnej wagi. Mimo swojego wieku trzymał się dobrze, szczupły i prawdopodobnie umięśniony, czego pod judogą za bardzo nie było widać, ale na tych wszystkich zdjęciach lubił przecież pokazywać tors, jak z tym niedźwiedziem albo wśród szuwarów ze strzelbą z lunetą, jakby na jakimś safari był zaczajony na grubego zwierza, a może nawet samego lwa.

– Doskonale pan wybrał! – zapalił się trener. – To nasza nadzieja na mistrzostwo!

– zaśpiewał podekscytowany, ale to chyba były nerwy. – Proponuję ją wypróbować – dodał jeszcze, jakbym była jakimś przedmiotem czy dmuchaną lalą o wiadomym przeznaczeniu.

– No to spróbujmy. – On puścił do mnie oczko i troszkę się rozluźniłam, bo przecież każdy by się spał, gdyby na niego padło.

ŁUP!

Przyjeliśmy postawę, ale na takim ni-by-luzie, bo przecież to miała być zabawa dla kamer, pokazująca, że On dba o swoich obywateli, sportowców, wspiera swoją siłą judoczki, co na mistrzostwa się wybierają.

Gdy chwyciliśmy się za judogi, od razu poznałam, że kiedyś trenował, tego się nie zapomina, miał mocny chwyt i postawę na ugiętych nogach, gdy się przesuwaliśmy, nie odrywał stóp od maty, dbając o to, by mieć z nią cały czas styczność.

Próbował prostych podcięć, raz nawet zamarkował *harai goshi* i mogłam Go bez trudu skontrować, przecież czułam, że to jedynie facet po sześćdziesiątce, niemający już tej siły w rękach ani nogach, bez refleksu potrzebnego do zaskoczenia mnie decydującym rzutem, w ogóle jakimś rzutem, w żaden sposób nie mógłby mnie nawet sprowadzić do parteru albo wypchnąć poza pole walki, po prostu był na to za słaby, a w dodatku przypominał mi trochę tego dupka, do którego odeszła ode mnie Wiera, co nagle przemknęło mi przez głowę. Mo-

głam Go skontrować i powalić na biodro, bok, plecy, ale nie skontrowałam. Jakoś głupio mi było. Wyczuł to. Zauważył. I chyba Go trochę ubodło, że daje mu fory.

– Walcz naprawdę – sapnął. – Naprawdę? – odsapnęłam. – Naprawdę – potwierdził.

ŁUP!

Coś przeskoczyło mi w tym głupim łbie. Jak naprawdę, to naprawdę. Szarpnęłam najmocniej, jak potrafiłam. Zaskakująco lekko pozbyłam Go stabilności, już nie miał ugiętych kolan, ale przez to szarpnięcie wyprostowane, nie stał już całymi stopami na macie, tylko na palcach, z oderwanymi od maty piętami, naciągnęłam go więc na siebie.

ŁUP!

I z błyskawicznym obrotem wskoczyłam mu dupą pod jaja.

ŁUP!

Morote seoi nage!

ŁUP!

Szarpnęłam, narzuciłam na plecy, pociągnęłam i jak bezwładny manekin przeleciał przez mój prawy bark.

ŁUP!

Grzmotnął plecami o matę tak mocno, że aż jęknął. Widziałam przez chwilę tę jego twarz bardzo blisko mojej twarzy. W oczach totalne zaskoczenie, dlatego patrzył, nic nie widząc. Chuch, jaki wy dostał się z jego ust, samoistnie, bezwiednie, pew-

Opowiadanie Daniela Odiji dostępne również w wersji audio

ZAPRENUMERUJ PISMO I SŁUCHAJ

w autobusie, domu, samochodzie. Gdziekolwiek chcesz.



POSŁUCHAJ

Kup prenumeratę na magazynpismo.pl/prenumerata i słuchaj opowiadań: Joanny Bator, Sylwii Chutnik, Jakuba Małeckiego, Łukasza Orbitowskiego, Patrycji Pustkowiak i wielu innych.

nie z powodu uderzenia o matę, był chuchem starego człowieka, taki trupi zaduch. Czyli nawet w Nim coś się rozkładało, powodowane upływem czasu, w Nim, lepszym i ważniejszym od innych. Powaliłam Go nie tylko umiejętnościami, ale też swoją młodością.

Człowiek, który rządził jednym z największych mocarstw świata, który marzył o rządzeniu całym światem, który sprawiał, że wybuchały wojny, bo skoro już zaznał wszystkich dostępnych zabaw, to została mu tylko zabawa ludźmi, teraz leżał pode mną, w dodatku kobietą! Co prawda, leżał przez chwilę, ale jednak pod kobietą, w dyscyplinie, w której mężczyźni są silniejsi, i to ja byłam górą, a on chwytał oddech jak ryba powietrze zamiast wody i próbował mi chyba coś powiedzieć, ale nie mógł, bo od tego bezwładnego padu na matę trochę go zatkało, a ja w jakimś zaskoczeniu, zamyśleniu, wciąż go trzymałam, cały czas na nim leżąc.

ŁUP!

– Puść!

ŁUP!

Puściłam i wstałam.

ŁUP!

Podniósł się, jak najszybciej potrafił, żeby jednak leżeć pode mną jak najkrócej. Chciał się uśmiechnąć, że niby nic się nie stało, ale pokłosie uderzenia wciąż Go zatykało i zamiast słów zakaszłał raz, drugi, trzeci... aż go od tego kaszlu zgięło.

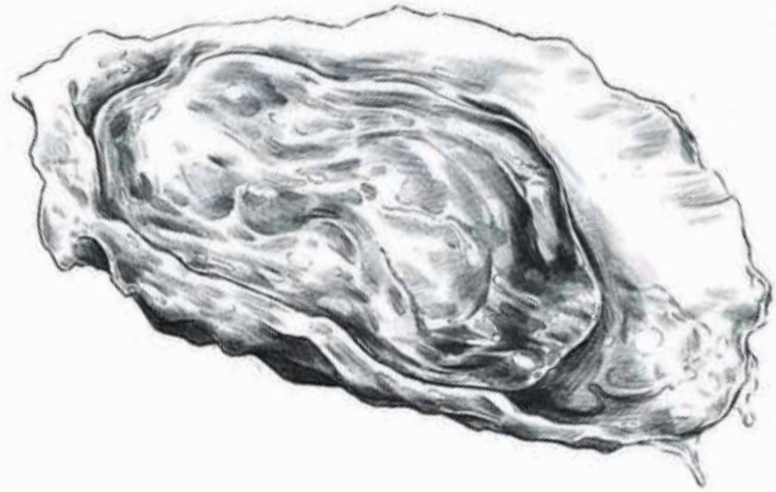
Usłyszałam jakiś chichot, nerwowy, piskliwy, pewnie to któraś z naszych, ale natychmiast ucięło go milczenie pozostałych, którzy ze zgrozą patrzyli na Niego, krztuszącego się i próbującego opanować kaszel.

Wreszcie opanował.

ŁUP!

Dwa małpoludy stały przy nim na macie. Ochroniarze nie zdjęli butów. Zauważył to. – Won! – ryknął na nich. – Mata to świętość! – I spojrzął na mnie. Zmroziło mnie to jego spojrzenie, bo nie było w nim żadnego życia, ale on uśmiechnął się, choć był to uśmiech przeznaczony dla innych, nie dla mnie, dla innych, aby zamazać fakt, że mój rzut, a Jego upadek, zrobiły na nim jakieś, prawdopodobnie nieprzyjemne wrażenie, takie, którego wolałby nie doznawać. W dodatku od kobiety.

Wyciągnął do mnie lewą rękę i uściłnął przez judogę mój prawy biceps. – Twarda



– powiedział. – Dobra dziewczyna, takich nam potrzeba... – A ja odczułam ten jego uścisk jak groźbę, która niedługo się spełni.

Gdy wychodził w towarzystwie dziennikarza i operatora, usłyszałam, i pewnie wszyscy to usłyszeli, jak mówi do nich: – Macie to wykasować.

ŁUP!

I może nie zdarzyłoby się to, co musiało się stać, gdyby nie filmik z jakiejś komórki, pewnie którejś z dziewczyn, co chciała udokumentować na zawsze ważne wydarzenie Jego odwiedzin u nas, gdyby nie ten filmik, który głupia lafirynda, może dlatego, że mnie nie lubiła, bo przecież nigdy nie wiadomo, kto tak naprawdę cię lubi, a kto nie, gdyby ta anonimowa swolocz nie wrzuciła filmiku do sieci, by cały świat mógł sobie obejrzeć, jak Go rzucam na matę.

I cały świat miał okazję się z Niego pośmiać. I może nielicznym z tych, co się śmiali, przemknęło przez głowę pytanie o dalszy los tej dziewczyny, czyli mnie, która w naiwności swojej łupnęła Nim o matę jak workiem kartofli.

ŁUP!

No to teraz mówię. Przez ten filmik nie było odwrotu. Za ponizienie wywyższonego trener musiał wyrzucić mnie z kadry. I kazał mi czekać w domu na dalszy rozwój sytuacji. Czekałam nie za długo. Na schodach klatki schodowej rozległy się kroki, chyba kilku osób, może dwóch? Zbliżyły się do naszego mieszkania. Przystanęły pod naszymi drzwiami. Nasłuchiwałam w napięciu tego, jak tamci, po drugiej stronie, nasłuchują mnie.

Ale to ich nasłuchiwanie trwało chwilę, podczas gdy moje trwało od dnia, w którym

trener wyrzucił mnie z kadry, a może nawet już wcześniej, gdy rzuciłam Go o matę, a Wiera rzuciła mnie dla łysogo milionera. Ich nasłuchiwanie trwało chwilę, bo dość szybko rozległo się pukanie do drzwi, które potężniało w moich uszach w głośne i ciężkie uderzenia pięścią.

ŁUP! ŁUP!

Nie skorzystali z dzwonka. Chyba wiedzieli, co robią, bo to walenie pięścią brzmiało tak samo głośno, jak moje łomotanie serca w piersi, jak to grzmotnięcie pleców o matę, które okazało się rzutem decydującym o moim dalszym życiu.

Te uderzenia pięścią w drzwi stopniowały narastanie mojego strachu, po każdym łupnięciu bałam się coraz bardziej i w pewnym momencie dotarło do mnie, że po raz pierwszy w życiu byłam tak przerażona, że nie mogłam w żaden sposób zareagować, siedziałam w przedpokoju zeszywniała, skupiająca się na tym, by nie zsiąść się w majtki, a może jeszcze gorzej...

ŁUP! ŁUP!

I nagle szkoda mi się zrobiło tej mojej dwudziestoletniej młodości. I tego, że nie ma przy mnie Wiery.

ŁUP! ŁUP!

Bo wiedziałam, że muszę ich wpuścić.

ŁUP! ŁUP!

I wiedziałam, że musi nastąpić to, co zawsze w takich sytuacjach następowało.

ŁUP!

Nie byłam w stanie podnieść się z przyściadu, w którym zastygłam. Drzwi otworzył tata. Przez łyżę dobrze nie widziałam, ale to chyba była Wiera. I jeszcze ktoś. Wchodzili do naszego domu.

ŁUP!

– Przyszliśmy po ciebie – usłyszałam.

POEZJA

ciało Władimira Iljicza Uljanowa zażywa kąpieli co 16 miesięcy

ANTONINA M. TOSIEK

—

ciało macie wspólne
członki pozrastane jak pięści
paluszki i szyje dzieci zrodzonych z dróg powiatowych
rozkładam ostrożnie na koszulkach z napisem
i love polish folklor so badly

jesteście jednym krajem tak słyszałam
tak powiedzieli że się będą o was troszczyć i nie pozwolą

co wam po tym
fantomowe ciała po 48 zł w universitاسie
robię zdjęcie łabędzia z powycinanych opon
a on mi mówi że to dyskurs egzotyzująco-wykluczający
i ślina mu błyszczy na srebrno na niebiesko cekinami

w starych miasteczkach wojewódzkich niedaleko rynków
są takie sklepy u ady albo moda damska i tam
można podotykać bluzek z cekinowymi twarzami
pod włos uśmiechnięte i z zębami
z włosiem jakby bez

ANTONINA M.
TOSIEK

(ur. 1996), studentka filologii polskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jedna ze złowionych i opublikowanych w antologii *Połów. Poetyckie debiuty 2018* Biura Literackiego. Wiersze oraz szkice krytyczne o literaturze i teatrze publikowała m.in. w „Przekroju”, „Czasie Kultury”, „Małym Formacie” oraz „Kontencie”. Laureatka kilku konkursów poetyckich.



REPORTAŻ

Sympatyczny początek końca

tekst i zdjęcia FILIP SPRINGER

NA HELU, W MIEJSCU, w którym zaczyna się Polska, co dwa lata trzeba dosypywać piasku, bo Bałtyk ciągle zabiera plażę. Ale z ocieplenia klimatu można się też cieszyć – wydłużyło sezon.



PÓŁWYSEP HELSKI

Władysławowo

Kuźnica

Jastrzębia
Góra

Chałupy

Jastarnia

Hel

W pociągu jest temat: czy dosypią, gdzie dosypią, kiedy zaczną i jak długo będą sypać. Informacje są sprzeczne, każdy chce mieć rację, atmosfera się zagęszcza, kłótnia wisi w powietrzu. W końcu ktoś dla rozładowania sytuacji rzuca, że nieważne, gdzie zaczną to całe sypanie, skoro to jest i tak z dupy pomysłu, żeby sypać w wakacje. Choć wakacji jeszcze nie ma. Konduktor łapie się za głowę, bo co to się porobiło, żeby takie tłumy już na początku czerwca ruszały plażować.

Co racja, to racja. Jedziemy.

TO PIERWSZY ETAP MOJEJ wyprawy w przyszłość. W październiku 2018 roku Międzyrządowy Zespół do spraw Zmian Klimatu opublikował przerażający raport. Wynika z niego, że jeśli nie opamiętamy się z podgrzewaniem planety, to zginiemy. Nie za pięćset lat czy dwieście. Karuzela samonapędzających się zmian już się kręci. Mamy jeszcze chwilę, żeby zwolnić jej pęd. Jeśli tego momentu nie wykorzystamy, rozprawi się z nami być może już w drugiej połowie XXI wieku. Mam trzydzieści siedem lat i duże szanse załapania się na ten chaos. Mój syn ma trzy lata – dla niego susze, kłęski żywiołowe, spowodowane nimi kryzysy ekonomiczne i polityczne przesilenia na niespotykaną dotąd skalę mogą być rzeczywistością przez większą część życia.

Od czasu publikacji raportu mam problemy ze snem. Nie mogę przestać o tym myśleć, właściwie wszystko, co się wokół mnie dzieje, odnoszę do kryzysu klimatycznego. Przeraża mnie nie tylko to, co ma nadejść, ale także nasza dzisiejsza niezdolność do opowiedzenia sobie tej przyszłości. Ciągle się zastanawiam, jak to zrobić, byśmy się w końcu tym przejęli?

Podpowiedź podsuwa mi Justyna Król, badaczka z Pracowni Miejskiej. Znamy się od kilku lat. Justyna przewiduje przyszłość: przygląda się danym demograficznym i ekonomicznym, rozmawia z setkami ludzi, bada trendy i kreśli scenariusze tego, jak za pięćdziesiąt lat będzie wyglądać życie w naszych miastach. Pytam ją, jak mówić o grożącej nam katastrofie.

– Ludziom trzeba pozwolić doświadczyć przyszłości – odpowiada bez chwili wahania.

Postanowiłem więc w tę przyszłość wyruszyć, zobaczyć ją, na razie w wersji *ultra soft*. Bo przecież dziś w Polsce w związku z katastrofą klimatyczną nie dzieje się jeszcze nic spektakularnego. Lubimy w to wierzyć. Tu coś wyschnie, tam coś zaleje. Przejdzie trąba powietrzna, zerwie kilka dachów. Takie rzeczy już się u nas zdarzały.

Teraz będą zdarzać się częściej. Bardziej. Naraz.

Wyruszą zatem do tych miejsc w Polsce, na których katastrofa klimatyczna już odciska piętno i kosztuje konkretne pieniądze. W kolejnych numerach „Pisma” przedstawię sprawozdania ze swojej wędrówki. Po drodze porozmawiam z badaczkami i badaczami, spotkam się też z ludźmi, którzy efektów katastrofy doświadczają. Oni mieszkają tuż obok, są w zasięgu wzroku. To my. Choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę.

PIOTR SZMYTKIEWICZ już na mnie czeka. Przyjechał służbową terenówką. Na jej drzwiach ma napisane „Instytut Budownictwa Wodnego Polskiej Akademii Nauk”. Nim ruszę pieszo plażą na Hel, jedziemy z Władysławowa do Jastrzębiej Góry.

Tam zaczyna się Półwysep Hel. Może nie dosłownie, ale metaforycznie. Na Bałtyku zwykle wieje z zachodu. Rozpędzone fale od tysięcy lat uderzały o brzeg i przenosiły wzdłuż niego masy piasku. Kawałek od Jastrzębiej Góry i Rozewia ląd ustępuje na południe. Robi się uskok, teren się obniża. Piach osadzał się zawsze na wschód od tego uskoku, między stałym lądem a wyspą, którą kiedyś prawdopodobnie był koniuszek półwyspu. W końcu usypało się połączenie.

– To wszystko płynie, zmienia się, żyje własnym rytmem – mówi Szmytkiewicz, patrząc w morze. – Człowiek wkracza w ten nieustający ruch i zmienność i próbuje wybudować coś, co będzie trwałe. Port, hotel,

molo, promenadę. Na niezmiennym trwaniu tego czegoś chce zarabiać. Nazywa to rozwojem. I tu dochodzi do fundamentalnego zderzenia.

To zderzenie widać dobrze na klifie w Jastrzębiej Górze. Na jego szczycie stoją ruiny dawnego ośrodka wczasowego Horyzont. W 2002 roku, świeżo po jego remoncie, zapadł się pod nim grunt. Kawałek dalej są domy, szkoła, ośrodki wczasowe. Też zagrożone osunięciem do morza.

– Woda zawsze przesączała się przez klif – tłumaczy Szmytkiewicz. – Gdy dzieje się to powoli, nic mu nie grozi. Ale im więcej nawalnych deszczy, tym gorzej. Klif rozmięka.

Jedną z konsekwencji katastrofy klimatycznej jest właśnie zwiększenie intensywności opadów nawalnych, czyli krótkotrwałych, ale gwałtownych deszczy.

W czasie takiej nawałnicy w ziemię wsiąkają naraz duże ilości wody. Po drodze trafiają jednak na słabiej przepuszczające warstwy gliniaste. Nadmiar wody płynie po nich i zabiera ze sobą materiał, a klif się rozpada. W lutym 2018 roku ze słynnego klifu orłowskiego w Gdyni zjechała do morza taka masa ziemi, że trzeba było zamknąć plażę, a teren przeszukiwali ratownicy z psami (na szczęście nikt nie zginął).

W Jastrzębiej Górze walka o klif trwa od końca lat 70. Jego podstawa podparta jest gabionami, czyli opaską z kamieni zabezpieczonych drucianą siatką. Takie same ciągną się też dalej na zachód, kilka kilometrów w stronę Ostrowa i Karwi. Można je spotkać na całym polskim wybrzeżu. Są w Trzęsaczu słynącym z ruin kościoła, który oprócz południowej ściany osunął się wraz z klifem, są w Dźwirzynie i Dziwnowie. Część z nich już kilka lat po wybudowaniu nadaje się do remontu albo likwidacji. Zapadają się w grunt, szarpie nimi morze. Druciana siatka pęka, kamienie wysypują się na plażę. Tak jest też



tutaj. Zwały kamieni sięgają wody. Sama plaża jest wąska, głębia zaczyna się kilka kroków od brzegu. Każda twarda ingerencja w brzeg powoduje bowiem zanik plaży, dopuszcza morze bliżej. Fale o takie zapory uderzają mocniej, woda cofa się z większym impetem, zabierając piasek. A wyższe fale podcinają rozmiękły klif. Choć wolniej, ten dalej się rozpada. Błędne koło.



z JASTRZĘBIEJ GÓRY wracamy do Władysława. Łądujemy na plaży na wschód od portu. Krajobraz industrialny. Znajduje się tu zakład produkujący ciepło i prąd z gazu wydobywanego spod dna Bałtyku. Z wbitych w niebo kominów ulatuje do atmosfery dwutlenek węgla. To miejsce strategiczne, jest więc zabezpieczone betonową barierą przysypaną piaskiem.

– Takie zabezpieczenia zawsze się projektuje, szacując skalę zdarzeń ekstremalnych – mówi Szmytkiewicz. Wysokość bariery zależy od wysokości tak zwanej fali stuletniej (czyli takiej, której prawdopodobieństwo powstania szacuje się raz na wiek). W podobny sposób oblicza się masę betonowych gwiazdoblók, jakimi zabezpieczony jest choćby wschodni falochron władysławowskiego portu. Widzimy je z od dali. – Upraszczając, można powiedzieć, że masa takiego elementu zależy od sześcianu wysokości fali – wyjaśnia Szmytkiewicz.

Czyli jeśli dla fal o maksymalnej wysokości dwóch metrów gwiazdoblók chroniące brzeg mają mieć masę ośmiu ton (dwa do potęgi trzeciej), to wzrost fali tylko o metr sprawia, że taki element musi „utyć” już do dwudziestu siedmiu ton (trzy do trzeciej).

Dziś wiemy też, że podgrzewanie planety powoduje deregulację pogody. Zimowe sztormy na Bałtyku już występują częściej niż pół wieku temu. Zniszczone nimi plaże nie mają czasu się odbudować. Sztormy są też bardziej gwałtowne, fale wyższe. I tu pojawia się kolejny problem. Bo także wytrzymałość konstrukcji chroniących brzeg jest obliczana dla zjawisk występujących raz na sto lat. A jeśli będą się zdarzać częściej?

– Ostatnio w Darłowie jeden z ośmiotonowych gwiazdoblók został podczas sztormu po prostu przerzucony przez nabrzeże – opowiada Szmytkiewicz.

Betonowych opasek, gabionów, gwiazdoblók i falochronów nie zobaczę jednak przez następne dwa dni, idąc północnym, morskim brzegiem Półwyspu Helskiego. Na pierwszy rzut oka nie dzieje się tam nic niepokojącego. Stosunkowo szerokie plaże ciągną się po horyzont.

– Nie daj się zwieść pozorom – zastrzeżę Szmytkiewicz. – My o ten półwysep toczymy ciągłą walkę.

DALEJ IDĘ JUŻ SAM. Rytm mojej wędrówki wyznaczać będą numery kolejnych zejść na plaże. Zaczynam przy numerze 1, skończę sześćdziesiąt siedem zejść dalej, na samym czubku helskiej kosi. Przede mną trzydzieści sześć kilometrów marszu.

Zdejmuję buty i staram się iść tą strefą plaży, gdzie piasek jest mokry i w miarę ubity. Moje stopy po tej wyprawie nie będą wyglądać najlepiej. Od spodu wyszlifowane piaskiem, z wierzchu spalone słońcem, z kilkoma ranami od zagrzebanego w piachu szkła i ostrych kawałków plastiku. I ze spuchniętą kostką, którą skręcę na nierówności drogi wiodącej za wydmgę gdzieś koło Jastarni.

Drzewa na półwyspie pochylają się na wschód, bo wiatry wieją tu głównie z zachodu. Im półwysep węższy, tym drzewa bardziej ugięte. Tam, gdzie zatokę od morza odziera wąski pasek lądu, las wygląda jak przeczesany grzebieniem. Te drzewa zasa-

dzili tu Niemcy na przełomie XIX i XX wieku. Są ważne, bo trzymają półwysep korzeniami. Bez nich zniknęłyby szybciej.

KUŹNICA. SCHODZĘ TU Z PLAŻY, by spotkać się z Iwoną Czapp, radną gminy Jastarnia. To ona wraz z mieszkańcami podniosła larum, gdy pod koniec ubiegłego roku Urząd Morski ogłosił budowę muru odgradzającego Kuźnicę od Zatoki Puckiej. Najmniejsza miejscowość na półwyspie miała zostać odcięta od jej najważniejszego bogactwa – widoku.

Spotykamy się w budynku informacji turystycznej nieopodal portu. Właśnie skończyło się zebranie lokalnego stowarzyszenia.

– Pomysł był kuriozalny i dla Kuźnicy zabójczy – mówi Czapp. – Konstrukcja miała nas chronić przed wysoką wodą idącą od strony zatoki. A to się właściwie tutaj nie zdarza.

Czasem tylko zimą wiatr pcha w stronę portu zwały lodu. To się dzieje sporadycznie, wygląda spektakularnie, ale nigdy poważnie nie zagroziło mieszkańcom. Zresztą zimy teraz coraz łagodniejsze, lodu w zatoce z każdym rokiem mniej. Co innego od strony morza. Stamtąd zagrożenie przychodzi coraz częściej.

– Ostatni, styczniowy sztorm przedarł się w kilku miejscach przez wydmgę, zabrał kawał plaży, we wschodniej części Kuźnicy zwanej Syberią woda pokonała już połowę drogi, jaka dzieli morze od zabudowań.

To już któryś raz z rzędu. Z północnej strony z każdym rokiem lądu i lasu ubywa. Potwierdzają to tutaj wszyscy. Wystarczy pójść i zobaczyć.

Tekst jest częścią cyklu **Zmiana klimatu już tu jest**.
Mecenasem cyklu jest Santander Bank Polska,
oferujący profesjonalną obsługę klientów Private Banking.

 **Santander**
Private Banking

– Ta woda prędzej czy później do nich przyjdzie – komentuje zapytany o sytuację w Kuźnicy Szymtkiewicz – z jednej albo z drugiej strony.

To, że zatoka do tej pory nie zagrażała Kuźnicy, wcale nie znaczy, że nie zacznie. Pogoda staje się coraz bardziej nieprzewidywalna.

Na dostępnych w internecie mapach przygotowanych przez NASA można się pobawić suwakiem i wirtualnie podnieść poziom morza dla wybranego miejsca na świecie. Robię to przed wyjazdem na półwysp. Wystarczy ten suwak delikatnie ruszyć, a wystająca niecały metr nad wodę Kuźnica znika w błękitcie. Jej sześciuset mieszkańców będzie pierwszymi z trzystu tysięcy ludzi, którzy są w Polsce bezpośrednio zagrożeni konsekwencjami podnoszenia się poziomu morza i innych zjawisk spowodowanych katastrofą klimatyczną. To oni stanowią będą forpocztę klimatycznego przesiedlenia w Polsce.

Kuźnica pozostaje jednak nieprzejednana. Pod wpływem oporu mieszkańców Urząd Morski w Gdyni wycofał się na razie z inwestycji.

– Gdy moja siedmioletnia wnuczka dowiedziała się o murze – mówi jedna z mieszkanki Kuźnicy przysłuchująca się mojej rozmowie z Iwoną Czapp – powiedziała: „Babcu, jeśli woda ma przyjść za sto lat, to niech oni wybudują ten mur za dziewięćdziesiąt dziewięć lat. A na razie niech nam dadzą spokój”.

— ZA KUŹNICĄ ZACZYNA SIĘ RURA. Dzieli plażę na pół, zasłania widnokrąg. Taki widok – piasek, rura, niebo. Wdrapuję się na jej wierzchołek i ruszam w stronę Jastarni. Moje kroki dźwięczą metalicznie, mam wrażenie, że ten odgłos słychać na całej długości konstrukcji. Po kilku minutach marszu na horyzoncie zaczynają majaczyć ramiona koparek. Kolejne segmenty są dołączane do już istniejącego węża. Gdy wszystko będzie gotowe, przyplynie „pogłębiarka nasiębierna ssąca ze smokiem wleczonym” i zacznie pompowanie piasku na brzeg. Wiem to z tablicy informacyjnej umieszczonej przy plaży. Zaznaczono na niej, że statek, który wydobydzie piasek z dna i podratuje półwysp, wcześniej pra-

Co dwa lata trzeba dosypywać piasku na helskie plaże, 150–200 tysięcy metrów sześciennych. W wydmach wzdłuż całego półwyspu ukryte są zaś kamienne i betonowe bariery, które mają chronić mieszkających za nimi ludzi.



cował przy sypaniu sztucznych wysp w Dubaju. Duma.

Co dwa lata trzeba dosypywać piasku na helskie plaże, sto pięćdziesiąt-dwieście tysięcy metrów sześciennych. W wydmach wzdłuż całego półwyspu ukryte są zaś kamienne i betonowe bariery, które mają chronić mieszkających za nimi ludzi. Ustawiono je po tym, jak w latach 80. Bałtyk przedarł się w głąb półwyspu i zagroził jego przerwaniem.

W samym 2018 roku Urząd Morski w Gdyni przeznaczył na ochronę brzegów Półwyspu Helskiego ponad sześćdziesiąt pięć milionów złotych. W tym roku rozpoczął się wielki projekt pogłębiania toru wodnego do Portu Północnego. Piasek z morskiego dna trafi na helskie plaże. Prace zaczęły się w czerwcu i potrwają do końca września. Będą kosztowały sto sześćdziesiąt milionów złotych.

To właśnie o tym rozmawiali wszyscy w pociągu z Gdyni do Władysławowa. O ratowaniu helskich plaż, sypaniu piachu, żeby nie zniknęły pod wodą.

Baza robotników wygląda jak stacja kosmiczna, wszędzie kontenery z agregatami prądotwórczymi, ciężkie pojazdy na monstralnie szerokich oponach. Rozstawili ją obok bunkra z czasów drugiej wojny światowej. Dopiero po chwili poznają to miejsce.

Widziałem je na filmie dostępnym w sieci. 2 stycznia 2019 roku wszystko dookoła wyglądało tutaj zupełnie inaczej. Na nagraniu widać, jak morze z impetem uderza w wydmę i przelewa się przez nią. Kaskady spienionej wody spływają po betonowych schodkach wzdłuż ściany bunkra i unoszą jednego z gapiów. Obraz drży, dookoła słychać przerażone krzyki ludzi. Wszystko szczęśliwie kończy się przemoczoną ubraniami i zniszczonym telefonem. Na twarzy ocalonego radość miesza się ze zdziwieniem.

— PO NOCLEGU W JASTARNI wyruszam w dalszą drogę. Plaża jest tu miejscami bardzo wąska, pokąsana falami nadmorska skarpa rzuca na piasek złowrogi cień. Do Juraty docieram wczesnym popołudniem. Już z oddali widzę masywną sylwetkę hotelu Bryza. Publicznie zejście na plażę jest kawałek dalej, ale hotel i tak wybudował osobne dla swoich gości. Żeby położyć drewniany pomost, rozorano wydmę, a jej osypujące się brzegi obłożono workami z piaskiem. Jest ich kilkadziesiąt. Widok od razu uruchamia w głowie skojarzenia z powodzią.

Jurata buduje się na potęgę. To miejscowość o największym prestiżu na całym półwyspie. Nowe apartamentowce powstają więc, gdzie tylko się da. Piotr Szymtkiewicz doradził mi, by obejrzeć zwłaszcza budowę jednego z nich, we wschodniej części miejscowości. Idę tam prosto z plaży. W powietrzu unosi się specyficzny odorek. Do niedawna był nie do wytrzymania, teraz da się go już znieść, wkrótce rozplynie się w morskiej bryzie. Wszystko przez to, że budowa naruszyła tu naturalne pokłady torfu. A wraz z nimi uwięzione w nich gazy. Torfowiska są wielkim rezerwuarem i pochłaniaczem węgla z atmosfery. Niszczony zaczyna działać na naszą niekorzyść. Ich osuszanie przyczynia się do emisji ogromnej ilości dwutlenku węgla i innych gazów cieplarnianych (jak o wiele gorszy metan) do atmosfery. Smrodek jest tylko nieprzyjemnym skutkiem ubocznym. Trudno powiedzieć, że budowa